

# Przegląd Wileński

PISMO POŚWIĘCONE SPRAWOM KRAJOWYM

REDAKCJA I ADMINISTRACJA:

Wilno, Uniwersytecka № 9 m. 9.

Czynne od g. 12—3 prócz świąt.

CENA OGŁOSZEŃ: 1/1 strona -- 80 zł.

1/2 " -- 40 "

1/4 " -- 20 "

1/8 " -- 10 "

Prenumerata kwartalna wynosi 1 zł. 50 gr.

## Proces odśrodkowy.

Na tle agitacji za wcieleniem Wileńszczyzny do Polski, prowadzonej swego czasu z większym lub mniejszym natężeniem, bardziej lub mniej otwarcie przez wszystkie ugrupowania polskie, rozwinęła się w miejscowym społeczeństwie polskim śmieszna i przesadna dążność do unifikacji we wszystkich dziedzinach, do zacierania śladów wszelkiej odrębności, nawet powierzchownych, nawet w nomenklaturze, w obyczajach, w formach zewnętrznych.

W gorliwości „patriotycznej” demokraci usiłowali prześcignąć endeków, demokratów starali się zdystantować socjaliści. Ludowe „Odrodzenie” spieszło utonąć w odmętach wszechpolskiego „Wyzwolenia”, P. P. S. Litwy i Białorusi w uniesieniu wymazywała na swych sztandarach litery L. i B., by nie raziły one oczu warszawskiej centrali, „Polskie stronnictwo demokratyczne na Litwie” wstydliwie składało swe programy i odezwy do szaf i biur, a czołowi jego przedstawiciele pośpiesznie wyprzedawali dziedzictwo Jagiellonów prawym potomkom „Piasta”...

Po paru latach, gdy już unifikacja doszła do kulminacyjnego punktu, gdy już wszystko zostało zniwelowane i zcentralizowane, nastąpiły przesyty i reakcja w usposobieniu. Najpierw powstało niezadowolenie w szeregach wileńskich P. P. S. Pod wpływem bezwzględnych metod partyjnych, stosowanych przez kierowników warszawskich, obudziły się tu wspomnienia dawnej samodzielności i pragnienia jej odzyskania z taką siłą, że doszło do rozłamu i znaczna część dotychczasowych zwolenników P. P. S. utworzyła własną i niezależną organizację wileńską.

Z kolei zaczęło się kruszyć „Wyzwolenie”, które obecnie już straciło w naszym kraju całkiem grunt pod nogami. „Piast” wogóle słabo się u nas zaaklimatyzował, jedna endecja wytrwała wiernie na swem

stanowisku wszechpolskiem. Czy i tam wszakże nie wkradnie się rozprzężenie i nie ukażą się szczyrby w zwartych dotąd szeregach — to wielkie pytanie, bo proces odśrodkowy się wzmacnia i obejmuje coraz szersze koła.

Symptomatycznym objawem tego procesu był zjazd Grodzieński, który się odbył d. 6 i 7 lutego. Praktycznego znaczenia zjazd ten miał i mieć zresztą nie mógł ze względu na swój skład niezwykle różnolity i przypadkowy. Nie możemy się zgodzić z poglądem „Życia Ludu”, kwestjonującym prawo uczestników zjazdu do nadawania mu nazwy „krajowego” wobec nieobecności przedstawicieli Litwinów, Białorusinów i Żydów. Oczywiście nie był to zjazd „krajowy” w znaczeniu ideologicznym, lecz przymiotnik ten służy przecież w pierwszym rzędzie do określenia przynależności terytorjalnej, a zjazd pod tym względem — jeśli nie brać pod uwagę dwóch reprezentantów Wołynia — miał charakter ściśle odpowiadający swej nazwie. Zjechali się bowiem w Grodzie działacze społeczni i polityczni najrozmaitszych odcieni poczynając od konserwatystów jak ks. E. Sapięha i biskup Łoziński i skrajnych nacjonalistów jak ks. Maciejewicz aż do byłych i obecnych Wyzwoleńców włącznie. Mieszane to towarzystwo połączył jeden węzeł, jedna wspólna podstawa — interesy naszego kraju, którego odrębność w ten sposób, wbrew doniedawna powszechnie panującym tendencjom unifikacyjnym, została zmanifestowana i poniekąd usankcjonowana.

I to podkreślenie odrębności ziem litewsko-białoruskich, chociaż jeszcze pod bardziej eufoniczną dla ucha nowoczesnego Polaka nazwą „Ziem Wschodnich”, stanowi najważniejszy, a bodaj nawet jedynie zasługujący na uwagę moment zjazdu. Nie należy lekceważyć nawet tak błahych objawów, jak posługiwanie się terminologią „krajową”, doniedawna gorliwie tępioną i starannie unikaną przez prawomyślne

pod względem narodowym sfery społeczeństwa polskiego. Przebieg zjazdu, rozlegające się na nim hasła, starcie się opinii skrajnie nacjonalistycznej, reprezentowanej przez p. E. Starczewskiego z kierunkiem myśli bardziej tolerancyjnej i liberalnej — świadczyły o dokonywającej się przemianie w nastrojach miejscowego społeczeństwa polskiego, tak niedawno jeszcze jednolicie wyznającego zasadę przewagi interesu narodowego — i to pojmowanego nader prymitywnie — nad interesami kraju.

O wiele mniejsze znaczenie posiadają konkretne uchwały zjazdu, zmierzające do utworzenia jakiegoś stałego przedstawicielstwa ponadpartyjnego naszego kraju (wraz z Wołyniem), w Warszawie, którego zaczątkiem ma być wyłoniona na zjeździe „Rada Tymczasowa Organizacji Społecznych i Gospodarczych Ziemi Wschodnich”. Jest to pomysł zupełnie chybiony i nierealny. Takie surogaty przedstawicielstwa mają rację bytu, tylko w warunkach wyjątkowych, kiedy normalny bieg życia jest zahamowany i legalne wybory do ciał prawodawczych są uniemożliwione. Obok funkcjonujących wszakże Sejmu i Senatu, posiadających w swym ręku egzekutywę, opartych na podstawie powszechnego prawa wyborczego istnienie takiego ciała o nieokreślonej kompetencji, dobieranego za pomocą misternych kombinacji kompromisowych pomiędzy organizatorami zjazdu jest jaskrawą anomalją, pozbawioną przytem wszelkiego praktycznego znaczenia. Któż bowiem będzie słuchał głosu owej „Rady”? Rząd? Ale ten jest uzależniony od Sejmu? Sejm? Ale ten się liczy ze swymi wyborcami i dyrektywami party-

nemi. Społeczeństwo? Ależ Rada będzie reprezentowała zaledwie nieznaczną część tego społeczeństwa, zrzeszoną i zorganizowaną. Masy ludowe pozostaną obojętne i głuche, tembardziej, gdy zobaczą na liście członków Rady nazwisko p. Osmołówskiego, którego rządy dały się tak dotkliwie im we znaki. Wspomnienia „Osmołówczyzny” dotąd są żywe wśród ludności...

O wiele racjonalniej zjazd by postąpił, gdyby się zajął bliżej postulatem autonomji, wysuniętym przez senatora Kalinowskiego i wynalazł jakiś jej surogat, jeżeli nie czuł się na siłach do zrealizowania tego postulatu w całej pełni. Ale trudno wymagać tak daleko sięgających zamierzeń od zjazdu, składającego się w znacznej części z osadników wojskowych i działaczy b. Rad Ludowych oraz b. Straży Kresowej, — trafnie ochrzczonych przez „Kurjer Wileński” mianem *neo-nacjonalistów*. Trudno się nie zgodzić ze „Słowem”, że „grupa ta najmniej miała praw do występowania u nas w charakterze gospodarza”. Ale tembardziej jest symptomatycznym zjawiskiem, że nawet neo-nacjoniści nie oparli się wzbierającej coraz potężniej fali odśrodkowej.

## Bezprzykładna cierpliwość.

I. I jako łuku napięta cięciwa, co dziesiątkom pokoleń służyła, a nie pękła — tak cierpliwość białoruskiego wieśniaka nie ma granic. Ta cierpliwość uważana przez wielu za służalczość lub głupotę i nie-

### WACŁAW BIRŻYSZKA.

3)

## Zarys historii książki litewskiej w wiekach XVI—XVIII.

Cały szereg bibliografów litewskich, opierając się na wiadomościach Narbuta, za pierwszą litewską książkę uważa „Agendę albo wyprawę duszy na tamten świat” z r. 1533 in typographia Andreae Lescicii w Wilnie.

Narbut pełny tytuł Agendy tej przedrukował z egzemplarza przez niego widzianego. Do tej wiadomości podał objaśnienie, że w r. 1552 w Wilnie nie było wcale drukarni, któraby mogła choć cyrylicą drukować, i przeto Zygmunt August, chcąc zwołać Sejm w Wilnie, musiał wysłać do Krakowa drukować uniwersał sejmowy, ale drukarnia, spieszy dodać Narbutt, jednak przedtem istniała, tylko w tym czasie nie była czynna.

Obok tej Agendy Narbut podaje inny druk polski, który też podobno widział, z r. 1553 tłoczony tak samo w Wilnie u tegoż Lescicii. Anonim (Jaroszewicz? \*) w 1840 r. w wydaw. wileńskim („Wizerunki i roztrząsania naukowe” (№ 23 str., 216—219) wiadomość o rzekomo „widzianych” tych książkach

\*) Nie Jaroszewicz, lecz Poliński (Przyp. Red.).

podał w wątpliwość twierdząc, że te oglądane przez Narbuta książki polskie on tak samo widział, tylko zauważył, że były one drukowane nie w r. 1553, lecz 1558 i nie w Wilnie, lecz w Krakowie, i nie u Leczyckiego, a u Szarffenbergera. A wspomnianą litewską Agendę z r. 1553 wyjaśnił Stankiewicz, wskazując, że żadnego Andrzeja Leczyckiego (Łeczyckiego) drukarza nigdy nie było. Chociaż może ją Narbut widział, ale nie umiał odcyfrować rzymskiej cyfry, nazwisko zaś drukarza wyciągnął z przedmowy wojewody Andrzeja Leszczyńskiego. Prawdopodobnie w r. 1553 Agenda zupełnie nie wyszła, mowa zaś jest zapewne o Agendzie z r. 1633, drukowanej w drukarni jezuickiej. W drukarni tej pod koniec wieku XVI rozpoczął drukować znany drukarz Daniel z Łęczycy (Lencicius), któremu, jako protestantowi, młodzież jezuicka w r. 1581 zniszczyła drukarnię; później on nawrócił się i pracował u jezuitów. Możliwe, że jeden z synów jego miał na imię Andrzej, który trzymając się utartego zwyczaju, mógł zamieścić swoje imię na książce, drukowanej nie w swojej drukarni. Zastrzegam się, że moja uwaga na razie nie posiada mocnych dowodów i nosi charakter hypotetyczny.

Tymczasem nie ulega wątpliwości, że należy uważać za pierwszą książkę litewską z r. 1547 Małwydasa „Catechismus prasty szadei”, wydrukowaną u Weinreicha w Królewcu. Przed rokiem 1547 uka-

dorozwój umysłowy — jest talizmanem jego, dającym siłę do walki cichej, lecz bezustannej z klimatem, ludźmi i warunkami. I nie jest to demagogiczne pochlebianie, co się tu pisze, jest to prawda szczerą: w cierpliwości tego ludu tkwi wiara mistyczna w lepsze jutro, a także przeświadczenie, że niema takiej siły, któraby była w stanie zruszyć go z posad ziemi rodzinnej — i gdy inni nie związani z tą ziemią pracą i miłością, a tylko kieszenią lub karierą odejdą — on pozostanie... Nietylko wieśniak białoruski, lecz każdy Polak, Litwin lub Żyd, czujący się u siebie w naszym kraju.

Cierpliwość, o której wspomniałem, jest zresztą wspólną cechą każdego obywatela naszego kraju, albowiem większość przeważająca rodzin polskich pochodzących ze spolonizowanych rodzin ruskich lub litewskich, a atawizmy przenoszone bywają na najdalsze pokolenia; zresztą surowa przyroda i klimat bezsłoneczny — mają tu niewątpliwą swój wpływ.

Cierpliwym był mieszkaniec tutejszy za czasów Najjaśniejszej Rzeczypospolitej w XVIII w., gdy bezkarność, brak kompletny władzy wykonawczej, gwałty, zajazdy i zabójstwa nawet w Wilnie pod bokiem Trybunału w biały dzień były zjawiskiem powszednim, cierpliwym był on za czasów rosyjskiego władztwa, gdy chmary szumowin i karierowiczów rozpoczęły politykę russyfikacyjną, politykę skrajnej nietolerancji i ucisku, cierpliwym pozostał i teraz, gdy zawitały do nas wojska polskie z odezwą Wodza Naczelnego; od tej chwili upłynęło lat 7 prawie, a cierpliwość mieszkańca kraju naszego podziwiać należy nie mniej niż dawniej, a może więcej. Dawniej no to byli zaborcy, dzisiaj to rodacy swojacy — dawniej były carskie samodzierżawne rządy, dziś konstytucyjne i demokratyczne.

Lecz cóż widzimy? Potok biurokratycznych bezdusznych rozporządzeń, wzorowanych na idiotycznych ośmieszonych przez cały świat jak i austriacka

armja c. k. przepisach i ustawach, niesłychaną ingerencją policji do wszystkiego, irytującą fiskalną politykę, powodzią nieustannych podatków nie pozwalającą odetchnąć ani chwili, słabość tam, gdzie potrzeba władzy, prowokowanie i drażnienie ludności miejscowej innego języka lub wiary, brak ciągłości w polityce, dyletantyzm i chaos, a przede wszystkim zarozumiałość i niechęć do kontaktu z miejscowym społeczeństwem, bezgraniczne jego lekceważenie nie tylko przez centralne władze w Warszawie, lecz i przez rozmaitych „pompadurów“ i „kulturtregerów“ z Mała i Wielkopolski, traktujących obszary b. W. X. Litewskiego jako tereny polowania na karierę lub na sarenkę modrooką, gdzieby się można „wznieść“ do „dużego interesu“.

Widzimy również popieranie stałe przez władze centralne i pewne czynniki lokalne na stanowiska urzędników państwowych lub samorządowych — dawniejszych russyfikatorów albo znów ex-renegatów polskich, którzy przypomnieli sobie o polskości tylko wtedy, gdy się narodziła Polska. Równocześnie, gdy b. ciemiężcom i renegatom daje się oprócz *emerytur* posady urzędników, autochtonów miejscowych, przez tychże zaborców wraz z nami uciskanych, Białorusinów, Litwinów lub Żydów nie przyjmuje się na żadne stanowiska z zasady; co gorzej znowu część społeczeństwa solidaryzuje się z temi metodami, zapominając, że jest to pogwałcenie praw konstytucyjnych polskich.

Protegowanie Rosjan na rozmaite stanowiska jest metodą reasekuracji dowcipnie pomyślanej przez pewne sfery — w nadziei powrotu „taty“ lub jego „zastępcy“. Utwierdzać może w tym przekonaniu fakt, że apolityczni Rosjanie lub biedacy nie mogą otrzymać posady, a nawet są prześladowani, jak ten biedak czyściciel butów przy dworcu kolejowym, którego usunięcia domagał się ex-renegat niemiecki Johann Obst, tak jak to czynił również swego czasu

zały się w druku (1545) dwa katechizmy w języku pruskim.

Nie należy wątpić, że znane nam najstarsze pomniki języka Aistów były w staropruskim, a nie w litewskim języku spisane. Litwa jeszcze w czasie zupełnej niepodległości przyjęła oficjalnie język ruski, wstępując zaś w związek z Polską, przyjmuje język polski i we wszystkich swoich stosunkach oficjalnych obchodzi się bez języka litewskiego. W Litwie w tych czasach sfery wyższe, oświecone prawie z Litwinami się nie stykały.

Zupełnie inaczej było ze staroprusami. Od rozpoczęcia się wojen z Prusami, Niemcy nie mogli się nie zetknąć z ich życiem, językiem i zwyczajami. Niemcy byli bardziej oświeceni od szlachty litewskiej i polskiej i nic dziwnego, że interesowali się narodowymi zwyczajami Prusów, co prawda znajomość tę wykorzystali dla celów własnych, gdyż starali się ówczesnej Zachodniej Europie przedstawić Prusów w najgorszym świetle. Ale pomimo tego, wśród nich byli i tacy, którzy potrafili obiektywnie opisać mało znany naród pruski i prawdopodobnie dzięki im powstało, poprzednio wspomniane, tłumaczenie gramatyki łacińskiej Donata na początku wieku XIII przez Wilhelma z Modeny.

Po zawojowaniu ziemi pruskiej Niemcy faktycznie zaczęli tępić naród pruski, już nie mieczem, lecz prawdziwą polityką kolonizacyjną. Staroprusowie przechodząc ze starych sadyb na nowe, w obce śro-

dowisko, stopniowo zapominali swego języka. Ale pomimo tego jeszcze przez długi czas w poszczególnych miejscowościach, w Prusach, język pruski był używany, choć oficjalnie około r. 1700 już nie znaleziono w Prusach ani jednego człowieka, któryby używał języka pruskiego albo go znał. Jednak prawdopodobnie język staropruski ostatecznie znikł w pierwszej połowie XVIII wieku, kiedy w ciągu siedmiu lat wskutek wojny panował głód i mór, wskutek czego większa część ludności wymarła, z czego Niemcy oczywiście skorzystali, gdyż rozpoczęli na większą skalę kolonizację, sprowadzając ze wszystkich stron ludność niemiecką.

Najdłużej zdaje się utrzymał język pruski na zamkniętym i małym półwyspie Samskim, naprzeciw Królewca, gdzie jeszcze w czasie walk Prusów z Krzyżakami Samowie długo utrzymywali się.

Ta bliskość Królewca częściowo przyczyniła się do wydrukowania pierwszych książek pruskich, które są już nam znane. Książę Albrecht, gorący zwolennik reformacji i najpoważniejszy opiekun jej, swoim gorliwym misjonarzom polecił rozpowszechnić nową naukę nie tylko w swoim kraju, lecz i zagranicą: w Litwie i Polsce. Przy tej działalności wypadło zetknąć się z innymi językami. Wśród poddanych byli, oprócz Niemców, Polacy, Prusowie i Litwini. W wielu miejscowościach nie można było się porozumieć bez języka miejscowego. Albrecht zwrócił uwagę na miejscowe narzecza i by móc nową wiarę szerzyć — roz-

renegat niemiecki z etykietą „istunno-ruskij“ niejaki Schmidt — w Mińsku, chcący usunąć Polaków tra-garzy i konduktorów.

Te wszystkie objawy są tylko drobną cząstką tego, co się u nas dzieje; wyliczyć ich nie podobna; cierpliwość obywateli naszego kraju jest zdumiewająca, lecz nigdzie nie występuje ona tak jaskrawo jak w sprawie nabycia praw obywatelstwa polskiego.

Kiedy wojska polskie objęły ten kraj w swoje posiadanie, wydało się wszystkim mieszkańcom, że skończą się męki paszportowe, że wszyscy zamieszkali na terenach b. W. X. L. po przekreśleniu orężem polskim rozbiórów Polski, staną się tem samem jako obywatele tego kraju równocześnie i obywatelami Rzeczypospolitej Polskiej, — lecz nic z tego! Zaczęły się debaty, rozporządzenia etc., przyszła ofenzywa bolszewicka, potem Litwa Środkowa, a potem wcie-lenie do Polski, za każdym razem powódz rozpo-rządzeń, kolejki do niedawna, w których ludzie stojący po 12 godzin w okropnych warunkach hygienicznych np. w Wilnie — mdleli z osłabienia, zaduchu, przeklinając tę Polskę z jej porządkami i nie byli to przedstawiciele t. zw. „mniejszości narodowościowych“ lecz rdzenni Polacy wszelkich sfer; słyszałem to nie raz. I trwało to miesiące... lata... nim biedna babula, która nigdy poza Wilno nosa nie wysunęła, co mó-wić, poza obręb swej parafji — na Zarzeczcu lub Soł-taniszkach, nareszcie dostała obywatelstwo lub dowód osobisty; równocześnie zaś na całym terenie Rzeczy-pospolitej, — u nas mniej, — mnóstwo osób otrzymywało prawo obywatelstwa przez protekcję lub przez płat-nych pośredników, mających stosunki. Konsulowie wydawali ogromną ilość zaświadczeń o obywatelstwie; na tej zasadzie wiele osób, *nie mających nic wspól-nego z Polską ani pochodzeniem, ani językiem, ani miejscem zamieszkania stałego* otrzymało obywatel-stwo; dużo było starozakonnych — wtedy gazety podnosiły wrzask, a któż winien? „Tu l'as voulu Ge-

orges Dandin“. Równocześnie *rdzennym autochtonom starozakonnym wileńskim* robiono niepomierne trud-ności z uzyskaniem obywatelstwa i nie jest to wina miejscowych urzędów, ale centrali warszawskiej, którą interesują tylko Śląsk z jego węglem lub Gdynia z „polskiem morzem“ i prymitywnym portem, ale która traktuje t. zw. „Kresy“, jak Niemcy nie trak-towali „Zululandu“ i „Kamerunu“.

Euzebjusz Łopaciński.

## Samorząd święciański.

(C. d.).

Na to wpływa i ta okoliczność, że część rad-nych za śmiałe swoje wystąpienia w walce z nadu-życiami w Sejmiku i powiecie na Zjazdach i posie-dzeniach Wydziału Powiatowego, poważnie ucierpiała, gdyż przewodniczący posiadając władzę administra-cyjną powiatu bezkarnie stosowali względem nich teror. Oprócz cichego krążenia pogłosek o nielojal-ności względem państwa, stwarzano jakieś urojone przestępstwa i wyznaczano rozmaite dochodzenia, rewizje, zawieszano nawet radnych w czynnościach i t. p. Np. p. Leszczyńskiemu wytoczono sprawę za przechowywanie broni, p. Bernatowiczowi za podbu-rzanie ludności i werbunek żołnierza do wojska ro-syjskiego. p. Bukowskiemu za podobne rzeczy, p. Błażysowi za to że miał śmiałość przedstawić wniosek Wydziałowi Powiatowemu o karygodnem zachowaniu się urzędników Sejmiku, protegowanych przez jednego z przewodniczących i t. p. Wprawdzie władze sądowe, a nieraz i sama administracja spra-wy te umarzały z braku dowodów winy, lecz to in-nych, tembardziej włóścian nadal do wystąpień znie-chęcało.

kazał, aby natychmiast przystąpiono do tłumaczenia książek protestanckich na języki pruski, litewski i polski; były to fundamentalne książki religijne potrzebne nie dla ludu, który nie umiał jeszcze czytać, ale dla księży i kaznodziejów. Oczywiście nie wszystkie tłu-maczenia były dobre, zachodziły często nieporozu-mienia, jak np. z tym kaznodzieją, który zamiast „sunelio“ (synek)—użył „szuneli“ (piesek).

Była i inna dziedzina, gdzie używano także ję-zyka pruskiego albo bezpośrednio, albo przy pomocy tłumacza. Tak było w sądzie. Pomimo prześladowań jeszcze w wieku XV większa część Prusów nie umia-ła mówić po niemiecku. Dlatego właśnie, jak się łat-wo tego domyśleć, był ułożony pierwszy słownik ję-zyka pruskiego, który jest nam znany. Znalezionej on został w rękopisach po Sz. Grünau w Elblągu przez niejakiego Piotra Holcwessera z Marjenburga. W prawach Pomezanji, jakoteż w starych polskich istnieją 802 słowa pruskie z tłumaczeniem na nie-miecki. Słowniczek ten dotąd nie jest jeszcze nale-życie opracowany. Bezenberger uważa, że pochodzi on z wieku XIII—XIV. Trautmann przypuszcza, że był on ułożony w wieku XIV—XV. Nesselman, który go poraz pierwszy ogłosił, daje mu datę początku wie-ku XV.

Słownik ten, jak widać, nie posiada wpływu na inne książki pruskie z w. XVI, gdyż leżał w rękopisie w ciągu kilkuset lat i nie był wcale znany. Tylko wypadkowo był znaleziony w r. 1848 w elbląskich

zbiorach przez Fr. Neumanna, który chwając się w pra-sie ze znalezionej rękopisu, nie chciał go ogłosić lub innym pokazać, pomimo nalegań ze strony Nes-selmana i innych. Szczególnie Nesselman tym słow-nikiem zainteresował się, gdyż przedtem już w r. 1845 ogłosił znany mu tekst pruski (w dziele „Die sprache der alten Preussen“), a znalezionej nowy, jemu nie-znany, tekst bardzo go intrygował. Nesselman miał możność zbadać go wtedy, gdy Neumann w r. 1868 ofiarował słownik ten bibliotece Elbląskiej. W tym samym roku Nesselmann ogłasza go drukiem, doda-jąc swoje uwagi „Ein deutsch—preussische Vocabou-lum“ a w r. 1873 cały wykorzystał do swego słowni-ka „Thesaurus linguae prussicae“. Średniowieczny ten rękopis dosyć trudny jest do przeczytania i prze-to Nesselmann nie wszystkie wyrazy dokładnie prze-drukował. Bezenberger w r. 1897 chcąc wszystkim badaczom udostępnić tekst słowniczka, wydał go spo-sobem fotograficznym, przypominając między inne-mi, że w wydaniu Bernekera z r. 1896 jest dużo błę-dów. W obecnych czasach najlepiej pod względem naukowym opracowane jest wydanie Reciholda Traut-manna, ogłoszone w r. 1909, w książce „Die alt-pressischen sprachdenkmäler“. Oryginał słownika po dziś dzień spoczywa w bibliotece Elbląskiej. Narze-cze tego słownika uważane jest za pomeziańskie.

(D. n.)

Tłum. Sak—cz.

Nie jest bez znaczenia i to że przewodniczący bezkarnie stosują na Zjazdach bezprawne zarządzenia, które deprymująco oddziałują na radnych jako to: usuwanie z porządku dziennego niemłych im wniosków, bez motywacji nawet, jedynie mocą słów swoich „wniosek taki to z urzędu — uchylam”. (Posiedzenie Zjazdu z dnia 28/II 1925 r.); postponowanie, mimo protestów, wniosków radnych np. p. Gurdusa, lub nieprawidłowe obliczanie głosów przez przewodniczącego, aby wniosek obalić (pos. Zjazdu z dn. 20/XII 1925 r.); wprowadzenie oryginalnego sposobu głosowania w formie „kto przeciw wnioskowi” nawet w wypadkach zbyt drażliwych, jak np. w obecności przewodniczącego o wynagrodzeniu dla niegoż w postaci naturalij lub dodatku reprezentacyjnego i t. p. co stale stosowane bywa na Zjazdach Sejmiku; wyszydzanie rzeczowych przemówień radnych naprzykład p. Bernatowicza (pos. Zjazdu z d. 20/XII 1925 r.) i tp.

Że wszystkie prawie wnioski na Zjazdach Sejmiku przechodzą po myśli władz administracyjnych wynika jeszcze i z tego, że Sejmik w swoim składzie posiada, wbrew ustawie o Tymczasowej Ordynacji Powiatowej (art. 15), płatnych funkcjonariuszy samorządowych, jako to burmistrzów, wójtów, większość których urzęduje z nominacji, oraz zwykłych pracowników sejmikowych całkowicie zależnych od władz administracyjnych. Uniemożliwia to bezstronną pracę niektórych funkcjonariuszy sejmikowych jak to Inspektora samorządowego, który z urzędu ma nadzór i pieczę nad gminami miejskimi i wiejskimi a tem samem może rewidować i dawać zlecenia swoim w tym wypadku zwierzchnikom (burmistrzom i wójtom radnym Sejmiku), tymczasem zaś oni zawsze mogą wpłynąć na karierę niedogodnego im urzędnika, lub nawet go zupełnie usunąć z posady. I tak sam Wydział Powiatowy, składający się z 6 członków, w swoim składzie liczy: 2 burmistrzów 1 płatnego pracownika sejmikowego, 1 członka, po porozumieniu się z przewodniczącym, kooptowanego z poza radnych Sejmiku (co prawda rzadko on bywa na posiedzeniach Wydziału z powodu nieudomagań), pozostali zaś dwaj p.p. Leszczyński i Błażys nauczeni doświadczeniem mało mogą wpłynąć na kierunek prac w Sejmiku, zresztą może i nie chcą. Na te usterek i ujemne zjawiska jakie mają miejsce w Sejmiku święciańskim, zwracali uwagę jeszcze w roku 1924 urzędnicy Sejmiku p. p. Gan, Konrad i Stankiewicz wystosowując do Delegatury Rządu w Wilnie odnośny memorjał, lecz dotychczas nic zmienionem nie zostało.

Moje spostrzeżenia datują się od jesieni r. 1922 do r. 1926. Otóż w tym okresie działalność Sejmiku święciańskiego musiała się przejawiać, zgodnie z ustawą, najbardziej w kilku kierunkach a mianowicie: w ustalaniu i pobieraniu rozmaitych podatków, działalności poruczonej t.j. nakazywanej przez Władze administracyjne, w zarządzie swoim mieniem, utrzymaniu swego biura, polepszeniu bytu ludności i szerzeniu oświaty, również podnoszeniu poziomu obyczajowości i kultury w powiecie. Jak z tych zadań wywiązał się Sejmik pod zarządem wyznaczonych mu przewodniczących postaram się poniżej pokrótce streścić.

Pierwszym na stanowisko stałego przewodniczącego Sejmiku święciańskiego wyznaczony został przez Delegaturę Rządu ówczesny starosta powiatu p. Stanisław Niekrasz. Za czasów jego rządów w Sejmiku szczególnie dbano o sprężyste ściąganie podatków z ludności powiatu, do czego utrzymywano ol-

brzymi etat pracowników sejmikowych na czele z kolegą p. Niekrasza z lat szkolnych jakimś p. Józefem Dzenajewiczem, który, nawiasem mówiąc, nosił egzotyczny tytuł kierownika działu budżetowo-kasowo-rachunkowo-akcyzowo-podatkowo-gospodarczego, i mimo swej rudymentarności był faktycznym gospodarzem Sejmiku. Sekretarjatem zarządzał były sekretarz Wydz. Powiatowego p. Aleksander Konrad, niepoślednie stanowisko zajmował również i były poseł na Sejm Antoni Mickiewicz, bo... aż urzędnika akcyzowego Sejmiku. Ściągane pieniądze szły przede wszystkim na opłacanie urzędników Sejmiku, co wynosiło do 50% budżetu, gdyż oprócz ustalenia wszystkich urzędników w wysokich stopniach służbowych, wypłacano im jeszcze i 50% dodatek komunalny nie omijając przewodniczącego.

Dalej szły wydatki na utrzymywanie i remont dróg, mostów, znaczenia przeważnie strategicznego z pominięciem dróg znaczenia gospodarczego, na budowę i remont szkół, w których się mieściły lub miały być rozlokowane wyłącznie szkoły polskie, popierano bowiem szkolnictwo wyłącznie polskie, wydając zapomogi na książki i pomoce naukowe, urządzając rozmaite kursy i t. p. Figurującą sumę coś około kilkuset tysięcy ówczesnych marek na zakup litewskich podręczników w budżecie Sejmiku, wstawiono, dla uniknięcia opozycji ze strony radnych Litwinów przy zatwierdzaniu ogólnego budżetu szkolnego na Zjeździe Sejmiku, przeznaczając ją poufnie, na wniosek ówczesnego inspektora szkolnego St. Miłoszeńskiego, specjalnie na zakup wydawnictw litewskich, o charakterze tendencyjnym, którym patronował zamordowany następnie ks. J. Grądzki. Drobne sumy były przeznaczone na popieranie rolnictwa w powiecie i inne pożyteczne przedsięwzięcia, bardzo mało łożono na faktyczne utrzymywanie sierot dzieci w ochronkach, tak że te literalnie głodowały i zimą marzły.

Jak wspominałem wyżej, dzięki bierności Wydziału Powiatowego Sejmikiem rządził już nie tyle przewodniczący, co przeważnie kolega jego p. Dzenajewicz, który jedne działy protegował, inne zaś traktował z lekceważeniem. Np. na zakup nasion do siewu wiosennego pieniądze dawał za ledwo w czerwcu — lipcu, na zakup produktów dla ochron udzielał kredytów wtedy, gdy dzieci formalnie z głodu chorowały, to samo było z wypłacaniem pensyj urzędnikom sejmiku: przewodniczący i pupilowie otrzymywali pensje normalnie, inni nawet po paru miesiącach i t. p. Tak samo działo się przy ściąganiu podatków i akcyzy: jednym terminem płatności dowolnie przedłużano, innym natychmiast wysyłano sekwestratora lub nakładano kary. Ingerencja Wydziału Powiatowego w tych wypadkach nic nie pomagała, i ta rzadko zresztą miała miejsce, bo członkowie bali się narażać swemu urzędnikowi, który był kolegą ich przewodniczącego. Gdy się zwracano do przewodniczącego, ten odsyłał z powrotem do p. Dzenajewicza dla załatwienia sprawy wedle tegoż uznania.

Przewodniczący zaś tymczasem bawił się wesoło w towarzystwie urzędników swoich i innych wesołych kompanów, w święciańskich oficjalnych i nieoficjalnych przytułkach Bachusa, dając przykład swoim postępowaniem jak należy podnosić poziom obyczajowości i kultury społecznej w powiecie zgodnie z artykułem 7 p. 2. ordynacji powiatowej. W roku 1923 będąc jednocześnie prezesem Kasyna Urzędniczego w Święcianach, na utrzymanie którego w znacznej mierze, jako polskiej placówki kulturalnej, ło-

zył i samorząd, urządził p. przewodniczący pewnego razu niezwykłą libację i ku zgorszeniu obecnych na obiedzie nauczycieli powiatu i innych osób, publicznie z krową (*sic!*) na ten cel sprowadzoną, za jednym stołem z jednej butelki likier spijał, co głośnym echem rozeszło się wśród ludności powiatu, aż nareszcie trafiło na łamy pism wileńskich, przeważnie litewskich. Obecny wówczas w Kasynie był jeden z członków Wydziału p. Leszczyński, który to zajście widział, mimo wszystko Wydział ani też Sejmik na tę dziką zabawę nie zareagował i ustąpienia tak zdyskredytowanego przewodniczącego nie zażądał.

Rozpąsanie p. starosty doszło do tego, że zaczął publicznie wyprawiać pijatyki w jadalniach święciańskich, które nie miały prawa na wyszynk napoi wysokowych, co zmusiło nawet, pewnego razu do interwencji, służbistę Komendanta Posterunku m. Święcian p. Szejnoka, który z narażeniem się osobistym swojemu zwierzchnikowi kazał flaszkę z wódką sprzątnąć i zmusił tem do zaprzestania libacji, a działo się to znowu na oczach miejscowych obywateli.

(C. D. N.).

Tutejszy.

## Propaganda metodystów.

Dotychczas znaleźmy wśród Białorusinów jeden tylko podział wyznaniowy: na prawosławnych i katolików. Postaci rzeczy nie zmienia fakt, że w odrodzeniu białoruskim wzięło też udział kilku kalwinów (Iżycki, Trepka), ewangelik (Möhnke, nawet żydzi (Pławnik, Perski)... Dziś na widowni ukazuje się nowy czynnik — *Białorusini metodyści*. Oczywiście, jest on w stanie krystalizacyjnym, ale już jest, i należy mu się przyjrzeć. W pewnej mierze poprzednikiem ruchu metodystycznego na Białorusi Zachodniej jest białoruski nauczyciel ludowy p. Dziakuć-Malej, który już pod koniec okupacji niemieckiej próbował w Grodzieńszczyźnie zainicjować ruch pokrewny (jeśli nie identyczny) metodyzmowi, atoli żadnej większej roli dotychczas nie odegrał. Mniej więcej przed rokiem przypominał się on ogółowi jako tłumacz Pisma św. na białoruski, wyprzedzając w tej pracy zbyt powolnych tłumaczy katolickich i prawosławnych, którzy nie zdążyli dotąd dać ludowi w przekładzie choćby tylko ksiąg Nowego Testamentu!..

Dziś publiczną jest tajemnicą, że grono czolowych działaczy białoruskich w Wilnie, według metryk należących do cerkwi lub kościoła, od paru lat czynnie popiera ideę stworzenia tu gminy metodystycznej. Z różnych wychodzą oni założeń w swej nowej akcji, ale tak drażliwego tematu, jak ich pobudki i dążenia, omawiać w tem miejscu nie chcemy. Metodyzm popierać będą w Wilnie i ewangelicy. Trzeba wyznać, że bardzo nieliczni dziś jeszcze pionierzy metodyzmu wśród Białorusinów zabierają się do pracy całkiem *metodycznie*. By pastor metodystów D. John Witt (b. inżynier, dziś ideowy misjonarz, gorliwie dotychczas pracujący w Rydze, przybyły na stałe wraz z rodziną do Wilna), mógł raźniej rozpocząć swą misję, pod koniec roku ubiegłego w drukarni Lewin i Syn (Niemiecka 22) odbito niemałą ilość śpiewników białoruskich, noszących tytuł wcale eufoniczny i biblijnie nastrojowy: *Pieśni duchownyja z barfy Sionskaj*. Zeszty ten ukazał się jako wyda-

nie misji metodystów w Warszawie i to podwójne łąciną i grażdanką \*). Ze wszystkiego tedy widać, że metodyzm na gruncie wileńskim pracę połowidusz rozpoczyna od zapuszczania sieci przede wszystkim w zamknięte nurty *maris Alborussici*.

Śpiewnik omawiany zawiera kilkanaście pieśni metodystycznych, oznaczonych numeracją podwójną [np. 10 (447)], co dowodzi, że wszystkie one wzięte są z jakiegoś większego zbioru tych pieśni. Mamy je tu w przekładzie białoruskim. O jego dokładności, wartości literackiej i czystości języka mówić się nie waży my. Sąd o tem niech wyda więcej od nas w tych rzeczach kompetentny i głębszy znawca poezji białoruskiej np. St. Swietazar, jeśli już nie A. Nowina lub Sülima. O treści tych pieśni da się powiedzieć tylko, że są one typowymi utworami poezji pietystycznej. Za nic mając sobie wszelkie dogmaty, całą siłą bije ona jedynie na uczucie, które w tej poezji jest dosłownie wszystkim. Krzyż Chrystusowy w oczach metodystów, jak i tylu innych sekt, jest czemś w rodzaju owocodajnej jabłoni na jesieni, gdy za łada dotknięciem, spadają zeń dojrzałe już jabłka prosto do kapelusza lub fartuszka. Tylko bierz i jedz sobie na zdrowie.

*Jesu Blut*

*Macht alles gut.*

Ale metodyzm jest religią „przyjemną” nie z tego tylko względu. Śpiewnik przed tekstem wszędzie podaje nuty i można być pewnym, że pietystyczne pieśni — modlitwy w dobrym wykonaniu celować będą pięknem swych melodyj. Założyciele sekt protestanckich pod tym względem idą śladami Lutra, który „prześpiewał” Niemcy na swą stronę, zaimponowawszy ludowi szeregiem melodyjnych pieśni w rodzaju: *Ein fester Burg ist unser Gott...*

Wielki czas, by „Białoruskaja Krynica”, jako organ katolików białoruskich i „Prawosławny Biełarus” zabrali głos *ex professo* w sprawie propagandy metodyzmu na Białorusi. Organ myśli krajowej, dając recenzję o śpiewniku, zadanie swe mniej więcej spełnił.

ex.

## Przegląd prasy żydowskiej.

(Litwa, a Łotwa. — *Posel Wygodzki o szkolnictwie żydowskim w Wileńszczyźnie. — O Zjeździe Kresowym w Grodzie*).

„Wilner Tog” w artykule wstępnym przeprowadza paralelę pomiędzy państwem litewskim, a łotewskim.

Przytaczając fakty upośledzenia Żydów przez państwo litewskie pismo zaznacza:

„A w tym samym czasie, gdy w Litwie narodowość żydowska coraz bardziej pozbawiona zostaje swych praw, stosunki w Łotwie wyglądają zupełnie odmiennie. Szkoły żydowskie z żydowskim językiem wykładowym są utrzymywane przez państwo i mają wszelkie prawa na równi ze szkołami łotewskimi, dzięki zaś poparciu władz komunalnych ma być otwarty w Rydze żydowski teatr artystyczny”.

W dalszym ciągu „Wilner Tog” informuje, że dzięki poparciu frakcji socjal-demokratycznej zostaje zniesiony w Łotwie przymusowy odpoczynek niedzielny, poczem odpowiada na pytanie dlaczego

\* *Pieśni duchownyja z barfy Sionskaj*. Śpiewnik dla Biełarusau (Metadystau). Wilnia 19 5. Str. 19 z nutami

istnieje tak rażąca różnica w stosunku do mniejszości żydowskiej w Litwie i Łotwie:

„W jednym kraju rej wodzi klika reakcyjna, w drugim wielki wpływ posiada socjal-demokracja. Stąd wypływa następujący wniosek, aktualny nie tylko dla państw nadbałtyckich. Los ludności żydowskiej zależy jest od ogólnej sytuacji w kraju i jej gospodarcze i kulturalno-narodowe równo uprawnienie jest ściśle związane z ogólną demokratyzacją państwa”.

Odnosi się to oczywiście i do kraju naszego, gdzie społeczeństwo żydowskie nie wyzyskało wszystkich środków, ażeby pozyskać demokrację polską Wileńszczyzny, jakkolwiek stwierdzić należy, iż jak dotychczas ma ona za mało zrozumienia dla spraw związanych z mniejszością żydowską.

W „Hajncie” zamieścił poseł d-r Jakób Wygodzki artykuł p. t. „Szkoły żydowskie, a ruina Wileńszczyzny”. Czytamy tam:

„... Jeśli szkoła któregokolwiek narodu miała kiedyś bohaterów w najlepszym tego słowa znaczeniu, to jest to nasza szkoła.

Nauczyciel żydowski nie otrzymuje płacy w ciągu miesięcy, a jednak nawpół lub całkowicie głodni nauczyciele nie opuszczają swych odpowiedzialnych posturków.

W warunkach normalnych szkoły te już dawno powinny były zniknąć z powierzchni ziemi. Podporą dla nich jest nauczyciel żydowski, który nie daje upaść szkole, w którą włożył tyle sił, pracy i nadziei...”.

O zjeździe grodzieńskim „Grodner Moment” pisze:

„W każdym bądź razie jedno jest jasne: w naszych warunkach publiczne demonstrowanie myśli, że „Kresy” mają osobliwe oblicze, specyficzne potrzeby, którym „od góry” zadośćuczynić nie można, ale które powinny być powierzone przedstawicielstwu ludności miejscowej bez różnicy wyznania i narodowości — jest już wielkim krokiem naprzód”.

Miecz. Gold.

## Białorusini w Grodnie.

Referent spraw białoruskich w „Kurjerze Wileńskim”, piszący pod pseudonimem „Rzeczoznawca” podaje w № 6 tego pisma garść ciekawych informacji o życiu białoruskiem w Grodnie:

Chociaż Grodno jest drugim po Wilnie ośrodkiem ruchu białoruskiego w Polsce, — przejawy życia społecznego Białorusinów są tam stosunkowo nikłe.

Wprawdzie istniały tam pewien czas: 1) Białoruski Komitet Narodowy, 2) Klub Białor., oraz 3) zorganizowana za czasów okupacji niemieckiej, białoruska sieć szkolna na prowincji z gimnazjum białoruskiem w Grodnie (w zakresie 4 klas niższych) na czele — niebawem jednak uległy te wszystkie instytucje całkowitej likwidacji.

Ocalała tam jedynie najstarsza i najlepiej postawiona szkoła białoruska w Grodnie.

Założona z końcem 1916 r. dzięki staraniom i ofiarności jej kierownika, ś. p. Aleks. Hrykowskiego, liczyła narazie około 50 słuchaczy; od roku 1919 począwszy, na skutek śmierci ś. p. Hrykowskiego, oraz nieprzychylnego stosunku do władz szkolnych, czasowo podupadła: obecnie jednak, zawdzięczając energii i umiejętności nowego jej kierownika p. Fiedorka, — znajduje się w stanie kwitującym, — licząc pełne 7 klas, w których kształcą się około 300 dzieci płci obojga i zatrudniając 8 nauczycieli.

Zajęcia odbywają się zrana i wieczorem, przyczem 3 niższe klasy posiadają oddziały równoległe.

Wielkie zasługi w rozwoju szkoły w pierwszym jej okresie posiada nauczycielka ś. p. Tekla Staniszeńska, która zgłębła na posterunku, gasnąc przedwcześnie od suchot.

Przy szkole istnieje Białor. Rada Szkolna.

Poza tą szkołą w chwili obecnej w Grodnie istnieje jeszcze Białoruski T-wo Dobroczynności, utrzymujące Przytułek Białoruski dla dzieci sierot. 6-go grudnia r. ub. odbyło się walne zgromadzenie tego T-stwa celem dokompletowania Komitetu T-wo, oraz Komisji Rewizyjnej.

T-stwo to jest obecnie najpoważniejszą instytucją białoruską w Grodnie i odegrywa tam rolę jednostki kierowniczej.

Życie towarzyskie wśród Białorusinów tamecznych tak dobrze jak nie istnieje.

Dopiero w roku bieżącym odbyło się pierwsze od trzech lat przedstawienie białoruskie w Grodnie. Grano komedię w 4 aktach pióra znanego dramaturga białor. p. F. Alechnowicza p. t. „Szczęśliwy mąż”.

Jesienią zaś w końcu października miał tam miejsce „koncert-bal” białoruski, urozmaicony produkcjami chóru białor. i orkiestry strunnej.

Obie imprezy spotkały się z życzliwym przyjęciem publiczności i odniosły sukces zarówno artystyczny, jak też i kasowy.

Prasa białor. w Grodnie nie potrafiła się tam ugruntować. Różne pisma białoruskie, które tam próbowały wychodzić, nie wyłączając polonifilskich, upadały w krótkim czasie.

(Najpoważniejszym z nich było „Biełaruskaje Słowa”, redagowane w r. 1920. Z pism ugodowych wspomnieć należy („Sielanskuju Hutarku”).

To też akcja prasowa ostatnio ogranicza się tam do wydawanych sporadycznie jednodniówek białor. o hulaśliwych nazwach, na przykład: „Wystrzał” (Wystrzał) lub „Hudok” (Syrena), o treści rewolucyjno-robotniczej, a i te jednak nie ukazują się już od dłuższego czasu.

## Bibliografia.

Tauta ir Žodis. Humanitariniu Mokslu Fakulteto Leidinys III knygos. Red. prof. V. K-Mickiewiczias. Kaunas 1925 r. str. 578.

W stosunku do I i II-go tom III-ci przedstawia się bardziej okazale. Treść bogatsza i ciekawsza, na którą złożyły się następujące prace, które wyliczamy według kolejności; doc. B. Sruoga „studjum o dajnach litewskich”; doc. F. Breuder „Die Verwendung der sog. Diminutiva im Litaunischen”; prof. Spiryn, po rosyjsku, bardzo ciekawe uwagi o starożytnościach litewskich (wykopaliskach); prof. V. K-Mickiewicz w dalszym ciągu rozprawia o indoeuropeizmie; prof. V. Birzyska podaje sumiennie zebrana bibliografię pism K. Bugi; prof. A. Dąbrowski podaje garść szczegółów o księdzu Ambroży Kossarzewskim. W dziele „z archiwum” znajdujemy listy Maurycego Stankiewicza i K. Estreichera do St. Bidziuliša i wreszcie listy Akielewicz. Listy te rzucają ciekawe światło na ich autorów. W dziele twórczości ludowej znajdujemy, między innymi, zebrane przez prof. V. K-Mickiewicza podania o miasteczkach litewskich, jak nap. o Liszkowie, Mereczcu, jak również przysłowia ludowe z okolic Marcińkańc, Rotnicy, Olkienik. Dział krytyki co do ilości jest b. bogaty, którą jak widać, zmonopolizował w swoich rękach doc. A. Senn. Krytyki jego są krótkie, nawiasem dodać wypada, że pisane są po niemiecku, przez co noszą charakter sprawozdawczy.

Wł. Sak.

Twardzicki, Karski, Croisier. Sąd honorowy i wyrok w sprawie rodziny XX. Borodziców i kościoła polskiego w San Remo. Montreux. 1925.

W przedwojennej kronice zmagania się kleru katolickiego diecezji wileńskiej z rządem carskim ks. Józef Borodzicz zajmuje miejsce niepoślednie. Upadek caratu i odrodzenie się Polski nie przyniosły spokoju skolataniej łodzi ruchliwego a odważnego kapłana, będącego już zagranicą. Zaczęły się bowiem wnet prześladowania ze strony poselstwa polskiego przy Kwirynale. Broszura niniejsza zawiera epilog długiego a pogmatwanego szeregu zatargów księdza Borodzicza z rządem, których widownią będą Włochy, Francja, Hiszpania...

Wcale się nie zachwycamy metodami misyjnymi stosowanymi przez ks. B. w Wileńszczyźnie, jak też wydaniami przezeń (na spółkę ze ś.p. o. Al. Mohlem) paru pracami („Pod wozem i na wozie”, „Na Galicyjskiej Rusi schyzma się gotuje”), tchnącymi zaborczym względem mniejszości nacjonalizmem. W swoim czasie piętnowaliśmy je publicznie... Nie przeszkadza nam to jednak życzliwie potraktować dziś publikacji niniejszej, za której pomocą człowiek, uginający się pod ciężarem rzuconych nań oszczerstw, usiłuje siebie bronić. Cel ten byłby lepiej osiągnięty, jeśliby broszura nie roiła się od przesadnych pochwał, których nie szczęśliwie poszkodowanemu jego obrońcy, wynosząc jego heroizm.

Ks. Borodicz niewątpliwie jest *gente Lituanus* i napisał w swoim czasie broszurę litewską, rychło jednak uległ sugestji większości i stał się protoplastą księży endeków. X. Borodicz nie tylko nawraca tysiące (?), ale zaszczepia w swych nowych parafjanach (roz. Litwinach i Białorusinach) polskość... Dlatego nie przystoi pasować go na męczennika za wiarę, jakto u nas lubią czynić sztukmistrzy endecy. Ks. B. ma ambicje stanowiska, radby otrzymać fiolety i tablicę pamiątkową wmurowaną jeszcze za życia, to też w swej apologii w broszurze omawianej nie opuścił niczego, co by mu splendoru zewnętrznego przysporzyć mogło. Niech nam wolno będzie wyrazić wątpliwość, by w Wilnie, ktoś z księży lub nawet kleryków przed laty uważał go za bohatera. Owszem czynniki miarodajne w seminarjum duchownym, póki ich nie przeżarł endecyzm, wyraźnie się zastrzeżały przeciw aprobacie metod borodiczowskich. Rzecz możliwa, że dziś jest inaczej.

W broszurze jest kilka błędów. Biskup Matulewicz wcale nie „wzywał” X. Borodicza do swej diecezji, a starania o to X. Borodicza, dla różnych przeszkód natury prawnej, spełżyły na niczem. — Również zupełnie nieprawdopodobnym jest, by „Litwini... bardzo zabiegali i chcieli... na swoją stronę przeciągnąć (go), proponując mu nawet jazdę do Ameryki, by ich spraw za oceanem bronił”. Ks. B. nie wątpił ani na chwilę, że w tym wypadku „napewno wybitną w aktualnej polityce odegrałby rolę...” Jednak wymowny obrońca księdza Borodicza zaraz dodaje, że jego pupil „nie zdecyduje się... do Litwy Kowieńskiej się zwrócić i ją o opiekę prosić, dopóki stosunki dyplomatyczne między Warszawą a Kownem nie ulegną rozprzężeniu (?)”... Tymczasem w Kownie dostatecznie znają tego prekursora endecji wileńskiej, by mogli po wojnie angażować go do siebie.

Życzymy ks. B. by odzyskał słusznie mu należny kościół polski w San Remo i otrzymał, jak pragnie, fiolety. Niechby sobie tam nadal pracował wśród tych, którym dziwnie tak trafił do gustu. Endeków mamy u nas i tak dosyć!

X.

## KRONIKA.

**Święto narodowe litewskie.** W d 16 b. m. przypadała ósma rocznica ogłoszenia niepodległości państwa litewskiego, która zgromadziła przy stole biesiadnym w lokalu klubu litewskiego liczne towarzystwo, złożone z przedstawicieli miejscowej inteligencji litewskiej. Byli obecni również goście — Polacy, Białorusini i Żydzi.

Podczas wieczerzy wygłoszono szereg przemówień, po czym nastąpiły popisy wokalne i muzyczne, w końcu tańce,

które jednak trwały krótko, jako w ostatnim dniu Zapust. W gimnazjum im. Witolda Wielkiego tego dnia zajęć nie było.

**Komu wierzyć?** We środę 27 stycznia „Dziennik Wil.” zamieścił następującą notatkę p. t. „Dola żołnierza polskiego“:

„Dnia 26 bm. straż pograniczna zatrzymała w rejonie Trok za nielegalne przekroczenie granicy z Litwą Antoniego Muśnickiego. Przeprowadzone dochodzenie ustaliło, iż Muśnicki w r. 1920, będąc kapralem 1 pułku Legjonów podczas defenzywy wojsk polskich ranny pod Wilnem dostał się do niewoli bolszewickiej, Bolszewicy Muśnickiego, jako pochodzącego z Kowieńszczyzny wydali władzom litewskim. Litwini za służenie w wojsku polskim osadzili Muśnickiego na 3 i pół lata więzienia. Po odsiedzeniu kary obecnie zbiegł on do Polski i tu zameldował się do swego pułku“.

Podobnej treści wiadomość zamieściło również „Słowo”. Jednocześnie tegoż dnia „Kurier Wileński” ogłosił p. t. „Aresztowanie szpiega bolszewickiego“ co następuje:

„Wczoraj organa policji państwowej powiatu Wileńsko-Trockiego zatrzymały niejakiego Pietkę, który służył w armji litewskiej jako starszy szeregowiec i podobno miał być pojmany przez bolszewików do niewoli w r. 1920. Zatrzymany zeznaje, iż uciekł od bolszewików, chcąc się dostać do swego miejsca urodzenia na Litwie“.

Zapytany, jak się nazywa, wymienił nazwisko Muśnicki, lecz ponieważ znalezione przy nim dokumenty wskazywały niezbiecie, iż właściwym jego nazwiskiem jest Pietko — policja przeprowadziła u niego gruntowną rewizję i okazało się, iż uciekł on z więzienia w Białymstoku, gdzie siedział, jak przypuszcza policja za przestępstwo polityczne.

Wspomniany Pietko vel Muśnicki został aresztowany i oddany do dyspozycji władz sądowych“.

Która z tych pism pozostaje w bliższym kontakcie z naszą administracją i policją — tego nie wiemy, nie możemy więc osądzić, które z nich posiada informacje bardziej wiarogodne, w każdym razie sprzeczność wyraźna jest niezmiernie charakterystyczna i jeszcze raz potwierdza nasz sceptycyzm co do wartości materiału faktycznego, tak obficie przez polską prasę wileńską czerpanego z dość niewyraźnych źródeł.

**Propaganda zagraniczna.** Jako dodatek do dziennika francuskiego „Le Messenger Polonais”, wychodzącego w Warszawie ukazał się ozdobnie wydany numer, złożony z 10 stron wielkiego formatu z licznymi ilustracjami p. t. „Wilno et ses environs”. Numer ten został ułożony i wydrukowany w Wilnie, na co wskazują nazwiska autorów (Cz. Jankowski, W. Bańkowski, K. Okulicz) oraz firma drukarni „Lux”.

Sądząc z treści, na którą się złożyły artykuły historyczne, ekonomiczne, krajoznawcze, statystyczne i polityczne, wydawnictwo jest przeznaczone na użytek zagraniczny celem poinformowania czytelników cudzoziemskich o „rdzennej i odwiecznej” polskości Wileńszczyzny. Bądźmy jednak sprawiedliwi. Względnie, jak na tego rodzaju publikację, tendencyjność jest dość umiarkowana i nie grzeszy jaskrawą przesadą, jaką się odznaczają wywody „Dziennika Wileńskiego”. Oczywiście jednak wielu ustępów nie wytrzyma nawet pobłażliwej krytyki. Do tych zaliczyć przedewszystkiem należy dane statystyczne o ludności pod względem narodowościowym. Nie odznacza się również bezstronnością artykuł końcowy p. t. „Importance numérique et rôle économique et culturel des Lithuaniens dans la province de Wilno”. Ale jak wiadomo, cel uswięca środki.

**Sprawa ks. Godlewskiego.** Sprawa ks. Godlewskiego odbyć się w Sądzie Okręgowym w Wilnie w dniu 1 marca br. Oskarżenie sformułowane z art. 129 cz. 1 ust. 6 i 130 cz. 1 ust. 1 p. 3 KK. W związku z tą sprawą oskarżony jest o współudział sőtys Piotr Rogacz z pow. Świąciańskiego, który wraz z ks. Godlewskim zasiadł na ławie oskarżonych.

Ze strony oskarżonych powołano 26 świadków — i do 30 odwoływanych. Ks. Godlewskiego bronić będą adw. Śmiarowski i Lieberman z Warszawy, zaś Rogacza adw. Kozłowski Eugenjusz.

**Ofiary emigrantów litewskich.** Według danych Biura Statystycznego emigranci litewscy w Stanach Zjednoczonych, Kanadzie i t. d. w ciągu roku ubiegłego wysłali do Litwy 31 milionów litów. Ponieważ pieniądze zostają przesyłane nie tylko przez urzędy publiczne, należy przyjąć, iż uchodźcy wysyłają do Litwy 35 milj. litów rocznie.

**Treść numeru:** Proces odśrodkowy. — E. Łopaciński. Bezpryściński — ex. Propaganda metodystów. — M. Gold. Przegląd prasy żydowskiej. — Białorusini w Grodnie. — Bibliografja. — Kronika. O d c i n e k. W. Birzyska. H storja książki litewskiej w w. XVI—XVIII.